

Gabinet doktora Cleckleya

Kilka dziewczyn, reż. Bożena Suchocka, Teatr Narodowy w Warszawie



Tomasz Mościcki

aA aA aA



fot. Tomasz Urbanek / East News

Wokół przedstawienia na studyjnej scenie Teatru Narodowego zdążyło już pojawić się kilka nieporozumień. Samemu tekstowi *Kilka dziewczyn* Neila LaBute'a dopisuje się wymowę, której on z pewnością nie ma, przy okazji myli gatunki, a równocześnie nie docenia samego przedstawienia Bożeny Suchockiej.

Że tak jest – niech świadczy zasłyszana przez piszącego te słowa wypowiedź pewnej damy od pięciu dekad brylującej na warszawskich salonach. Dama owa po obejrzeniu *Kilka dziewczyn* z wyraźną

wyższością wygłosiła jednozdaniową recenzję: „no, to już się w Narodowym grywa bulwar”. Te nieporozumienia z całą pewnością domagają się wyjaśnień.

Przed premierą można było przeczytać zapowiedzi, że oto w Narodowym obejrzymy historię współczesnego Don Juana. I że jest to komedia.

Bohaterem sztuki La Bute'a jest w istocie uwodziciel. Ile ma jednak wspólnego z Don Juanem? Tyle, że podobnie jak bohater Moliera ma na swoim koncie (czy na sumieniu?) uwiedzione i wykorzystane kobiety. Tylko – inne są pobudki. Uwodzicielstwo Mollеровskiego Don Juana ma u swych źródeł metafizyczną rozpacz i bunt, jest wyznaniem na pojedynkę samego Boga, by ten wreszcie okazał swą moc, a przynajmniej obecność. Rzekoma podłość postępków Don Juana jest więc teologią à rebours. A czymże jest uwodzicielska mania Mężczyzny ze sztuki LaBute'a? Ona nie jest nawet wyzywaniem kogokolwiek, nie ma tu żadnej wyższej siły, jaka zatem to antyteologia. Sztuka LaBute'a nie jest więc żadnym *Don Juanem* ponowoczesnego świata. Czy jest komedią? Kilka dowcipnych ripost, pokazujących w prawdziwym świetle bohatera, komedii nie czyni. Komedia ma však oczyszczać śmiechem obyczaje, śmiech ma uzdrawiać. Jeśli w kilku momentach przedstawienia Suchockiej reagujemy śmiechem, to jest to śmiech pelen zawstydzenia, że w ogóle się z tego śmiejemy – i gorzycy. Po obejrzeniu *Kilka dziewczyn* pozostaje za to uczucie głębokiego psychicznego dyskomfortu, może nawet przerażenia. Przez półtorej godziny obcujemy... no właśnie – z kim? Z donżankiem, lowelasem, kolekcjonerem erotycznych podbojów? Aby pojąć, kim jest Mężczyzna stworzony przez Grzegorza Małeckiego, należy pilnie mu się przyjrzeć.

Aktor nie stworzył nikogo, kto od początku dawałby wyraźne znaki, że lepiej trzymać się od kogoś takiego z daleka. Nie, Mężczyzna Małeckiego jest nawet sympatyczny, sprawia wrażenie bardzo otwartego, bezpośredniego. Potrafi być *charmant*. Ma swoje słowne natręctwo: „Hehheej!”, które wypowiada beztrosko niczym młody chłopak pragnący zwrócić na siebie uwagę. Potrafi odwrócić nim każdą kryzysową sytuację, zamienić ją w żart.

Mówi dużo o etyce. Uciekając od dość... śmiałych założeń młodziutkiej Tyler, Mężczyzna Małeckiego jest zakłopotany, wyraźnie pokazuje, że nie ma ochoty na „odświeżenie” dawnych wspomnień, odpycha jej stopę błądzącą uparcie po najintymniejszych okolicach jego ciała – a przecież po chwili leży spleciony w miłosnym uścisku ze swą byłą kochanką – jakby w zamkniętej przeszłości nie wydarzyło się pomiędzy nimi nic złego i jakby jeszcze przed chwilą nie mówił z głębokim przekonaniem, że czeka go ślub, a to niesie za sobą moralne i etyczne zobowiązania.

Działa więc pod wpływem impulsów i w gruncie rzeczy wszystkie normy, o których mówi z takim przekonaniem, jego zdają się nie dotyczyć. Świadomy ich istnienia, porzuca je, gdy zaczynają być hamulcem na drodze osiągnięcia tego, co uważa za dobre. Dla siebie.

Jako się rzekło – potrafi być ujmujący. Ale w szczególny sposób. Rozmowa z kochanką nr 1, czyli Sam – skromną gospodynią domową. Zaczyna się od komplementów, a w pewnej chwili Mężczyzna Małeckiego, mówiący o jej losie, jej mężu – zapewne ciężko pracującym od rana do wieczora kierowniku sklepu – przybiera zupełnie inny ton. Z niesłychaną pogardą mówi, że przewidywał od samego początku kolejne jej życia. No i nic dziwnego. Ona – gospodyni domowa, on – autor książki, publicysta „New Yorkera”.

Wykazuje niesłychaną „elastyczność”. Kłamstwo jest u niego tożsame z prawdą. Mówienie jednego i drugiego przychodzi mu z taką samą łatwością. Mężczyzna grany przez Małeckiego kłamie, by za chwilę powiedzieć prawdę w bardzo charakterystyczny sposób: często niemal na jednym oddechu, jedno unieważnia wtedy drugie i łatwo jest uciec w następne kłamstwo – podane zresztą z absolutną pewnością jako niepodważalna prawda. W kłamstwie jest geniuszem improwizacji.

Uderzające jest w tej postaci podejście do ludzi: są jak narzędzia, którymi mężczyzna posługuje się dla osiągnięcia swoich celów. Przed laty dla wspięcia się o kolejny szczebel uniwersyteckiej kariery omotał żonę swojego zwierzchnika, zlapano ich *in flagranti*. To kompromitujące wspomnienie przywołane teraz przez niegdyśszą kochankę na Mężczyźnie granym przez Małeckiego nie robi jednak żadnego wrażenia. Ot, chwilowa przykrość. Zacznie się bać dopiero w chwili, gdy była kochanka zagrozi mu demaskacją przed obecną narzeczoną. Będzie co prawda próbowała go upokorzyć, wymuszając na nim seks (na który sama ani przez chwilę nie ma przecież ochoty, a to jest z jej strony wyjątkowo okrutną zabawą) tylko po to, by zostawić go na sofie już bez spodni. Coś takiego upokorzy przecież każdego faceta! Ale z całą pewnością nie Mężczyznę z przedstawienia Bożeny Suchockiej. Ten przyjmuje to jako niemilą, ale nieistotną w sumie przygodę. Małecki gra postać, która jest w stanie odczuwać strach tylko wtedy, gdy grozi mu demaskacja i ruina planów na przyszłość, a więc to samo, co czynił uprzednio innym.

Wspominamy o szczególnej cesze Mężczyzny ze sztuki LaBute'a. Jest w tej postaci zagadka. Oto uznany pisarz, człowiek sukcesu, wkrótce zmieniający stan cywilny, biorący za żonę uroczą młodą dziewczynę studiującą pielęgniarstwo – nagle wyrusza w dłuższą podróż, by odwiedzić swoje byłe kochanki, może narzeczone, z którymi się wiązał – by nagle je porzucić. I po co ta podróż? Dla ekspiacji, którą deklaruje, dla „naprawienia” starych spraw? Pewnie wyjaśnieniem jest rozmowa nr 4, ta z Bobbi, pracującą dziś jako technik medyczny i ludzaco podobną do obecnej narzeczonej naszego bohatera. W tej scenie pokazuje nam swoją kolejną cechę: to człowiek niesłychanie obrotny, umiejący jednym spotkaniem załatwić aż dwie sprawy. Jedną z bardziej przejmujących scen tego przedstawienia jest ta, w której Mężczyzna Małeckiego wyciąga z portfela zdjęcie swej obecnej narzeczonej, by pokazać je byłej kochance, z entuzjazmem podkreślając ich podobieństwo. A gdy zapewnia, że w gruncie rzeczy wciąż kocha tylko ją – w głosie Mężczyzny słychać prawdziwe żarliwe uczucie. „Poobie jeszcze znalazłam wielu, zgorznienie widzę w oczach twych, coś, widzisz drogi przyjacielu – wciąż szukałam ciebie w nich” – chciałoby się zacytować przedwojenny szlagier. Wyznając miłość, która nigdy w gruncie rzeczy się nie wypaliła, tłać się przez lata i wybuchając teraz z siłą Etny? Nie, to jeszcze jeden sposób upokorzenia „kochanej” niegdyś kobiety. Jakaśmy rzekli – nasz Mężczyzna to człowiek bardzo zdolny. Umie reżyserować sytuację, dokonywać właściwych ludzkich obsad i dobrze to spożytkować (co określa się jako manipulację). Bo cała ta dramatyczna rozmowa, utrwalona w pamięci telefonu – ma być zapewne materiałem do następnej książki. A postać w interpretacji Małeckiego mówi o tym bez jakiegokolwiek żenady z rozbrajającą szczerzością jako o czymś absolutnie naturalnym, cóż w tym przecież nagannego, taka praca pisarza, i tyle. A zademonstrowanie zdjęcia obecnej kochanki ma być zadaniem dodatkowego ciosu osobie, którą kiedyś się skrzywdziło.

I jest jeszcze jedna scena – finałowa. A właściwie jedna migawka z tej roli. Mogłoby się wydawać, że te cztery spotkania, a zwłaszcza to ostatnie, zrobią na Mężczyźnie jakieś wrażenie, że to, czego musiał o sobie wysłuchać, czego się o sobie dowiedział złamie go, a przynajmniej będziemy wiedzieć, że te spotkania przeorały go wewnątrz i nigdy nie będzie już tym, kim był do tej pory. Ale nie – Mężczyzna grany przez Małeckiego lekko tylko się wzdrgnął, coś jak pies otrząsający się z wody po niemilej kąpeli, wyprostowuje się – i ciepłym, łagodnym głosem przemawia przez telefon do swej obecnej narzeczonej. W domyśle: następnej ofiary.

Przemiliły człowiek, czyż nie? Mamy w Narodowym komedię, i w dodatku bulwar, prawda? Może jeszcze w dodatku ów Mężczyzna Labute'a to Don Juan *alla moderna*?

Kim jest mężczyzna stworzony na malej scenie przez Grzegorza Małeckiego? Pozornie miły, czarujący, w rzeczywistości manipulant bez najmniejszych wyrzutów sumienia wykorzystujący ludzi, wchodzący jedynie w płytkie relacje oparte na eksploataowaniu oddanych i ufających mu osób, głęboko nimi gardzący i traktujący je czysto przedmiotowo, patologiczny kłamca z chaotycznym życiem intymnym, jednostka świadoma norm etycznych, a zarazem świadomie je depcząca, uparcie powtarzająca najgorsze uczynki. Sądzę, że słynny amerykański psychiatra, doktor Hervey Cleckley, autor słynnej jeszcze czasu książki *Mask of Sanity*, obejrząwszy rolę Grzegorza Małeckiego, bez cienia wątpliwości wydalby diagnozę: podręcznikowe studium osobowości dyssocjalnej, zwanej w skrócie psychopatią – i polecił przedstawienie Suchockiej wszystkim studiującym psychiatrię kliniczną. Kogoś takiego jak ów Mężczyzna można spotkać na ulicy, widzi się takich w urzędach, w redakcjach, często zasiadając za korporacyjnymi biurkami na eksponowanych stanowiskach. Wchodzą w życie kolejnych osób, zostawiając je głęboko poranionymi tak, że podobnie jak cztery kobiety ze sztuki LaBute'a latami wychodzą z głębokiego wstrząsu. Co jest w tej aktorskiej kreacji naprawdę przerażające – to to, że Małecki zagrał ją na w gruncie rzeczy ściszonych rejestrach. Żadnej przesady, grania tematu psychicznego sadyzmu, jakiejkolwiek chorej satysfakcji z czynionego zła. Jego zło jest absolutnie banalne. Rola wspaniała, bardzo zniuansowana, nieprzerysowana w żadnym detalu. Niesłychanie prawdziwa i wcale nie dziwiłbym się, gdyby Małeckiego spotkało to, co było udziałem Romana Wilhelmięgo po roli Pochronia w filmowych *Dziejach grzechu*: długo jeszcze spora część widzów nie mogła mu darować tego, co jego postać czyniła na filmowym ekranie. Prywatnie może to mało wygodne, ale paradoksalnie – trudno o większy komplement dla aktora.

Zaczęliśmy tę listę komplementów od dżentelmena, ale to on jest osią, wokół której kręci się sceniczny świat LaBute'a. Trzeba powiedzieć, że przedstawienie w Narodowym jest perfekcyjnie wyrównane aktorsko. Cztery sceniczne partnerki Grzegorza Małeckiego, każda inna, każda tworząca przez siebie postacią demaskującą inną stronę osobowości tego ludzkiego monstrum. Sam Anny Grycewicz wciąż niepokodzona z przeszłością, wciąż kochająca tego człowieka, który złamał jej życie i wraca, by uczynić to jeszcze raz. Chyba spokojna, zdystansowana, nagle zwalniająca wszystkie hamulce dobrego wychowania, społecznej pozycji dobrej żony i matki, zbierająca się kilka razy do wyjścia, ale przyciągana do swojego oprawcy jakąś magnetyczną siłą, by w końcu wykrzyknąć Mężczyźnie prosto w twarz całą doznaną od niego krzywdę. Pewnie najbardziej brawurowa i efektowna rola Tyler, młodziutkiej artystki uwodzącej Mężczyznę na granicy – może nawet poza granicą – tego, co potocznie określa się jako molestowanie, a co w gruncie rzeczy jest rozpaczliwą próbą przywołania lepszych dni, może nawet powtórnego przyłączenia do siebie kochanki, który przecież do niej nie wróci, a pojawił się tylko po to, by skrzywdzić ją po raz drugi. Ta rola jest brawurowa, bo Justyna Kowalska gra ją bardzo odważnie, świetnie podsluchanym językiem młodych ludzi, kapitalnie przetworzonymi na mowę sceniczną niestarannościami mówienia, uproszczoną metodą dzisiejszej polszczyń. Jednak nie ma w tym niczego prywatnego – to jest świadomie wykrowany język współczesnej ulicy. Ale ta rola ma jeszcze jeden aspekt – czysto obyczajowy. Dwadzieścia lat temu ekscyte tak zwanego „młodego polskiego teatru” szokowały, dziś fundamentalnie już się opatrzyły. Tyler w wykonaniu Justyny Kowalskiej jest wyzywająca, ale w przeciwieństwie do swoich poprzedniczek „przekraczających granice teatru” (jak to się wówczas mawiało) – nie ma w niej nic wulgarne, co wzmacnia sceniczny efekt. To pogubiona dziewczyna, jeszcze właściwie dziecko, któremu u progu dorosłości przydarzyło się spotkanie z potworem. I z tym doświadczeniem nie umiała sobie poradzić. Podobnie ostatnia z czterech bohaterek, grana przez Patrycję Soliman, wciąż nierozumiejąca, dlaczego ją zostawiono, i odkrywająca przypadkiem, że ich rozmowa jest nagrywana, a ona znowu zostanie wykorzystana – tym razem jak rzecz, jako materiał do następnej książki.

Pewnie jedyną osobą, która z Mężczyzną sobie radzi, jest Lindsay, najstarsza ze wszystkich kochanek Mężczyzny, ale i najinteligentniejsza, najbardziej doświadczona. Beata Ścibakówna zagrała ją jako kobietę pewną siebie, swojej siły – i jedyną, która umie grać z psychopatycznym rozmówcą – swoim spokojem, opanowaniem i wewnętrzną siłą. I tylko ona umie nad nim zapanować, jako jedyna zna sztukę manipulowania tym urodzonym manipulatorem. Lindsay Ścibakówny nigdy nie krzyczy – przemawia zimno, tonem osoby nawykłej do rozkazywania. I ona jest właściwie jedyną „nieprzemakalną” wobec gier Mężczyzny – on się jej wyrażnie boi. Być może i ona w gruncie rzeczy byłaby wdzięcznym obiektem badań doktora Cleckleya.

Czy *Kilka dziewczyn* dzięki filmowym niemal dialogom, prawdopodobnym sytuacjom, postaciom o wyrazistych biografiach jest przedstawieniem realistycznym? W swojej czysto obyczajowej warstwie – z pewnością tak. Że jednak nie do końca – o tym upewnia minimalistyczna scenografia Agnieszki Zawadowskiej: „dizajnerska” sofa o dość wymyślnym kształcie, fotel, kilka butelek z trunkami pod lewą ścianą sceny, a więc zamaskowany barek, zastawka z fioletowymi świetlówkami, świecącymi zinnym blaskiem pomiędzy kolejnymi scenami przedstawienia. Nic poza tym. Znikomość tej teatralnej przestrzeni, jej umowność każe myśleć, że to nie jest wspomniany w tekście hotelowy pokój nr 127 – niegdyśsze miejsce erotycznych „triumfów” bohatera sztuki, ale szeregowe laboratorium, w którym bada się ludzką psychikę, wystawiając ją na okrutne próby pamięci konfrontowanej z teraźniejszością.

Przedstawienie Bożeny Suchockiej imponuje rzeczą częstą już na naszych scenach: precyzją i intensywnością scenicznego dialogu, oszczędnością sceniczných efektów. To jest teatr nieoszczędzający ani aktora, ani widza, ale jego bezwzględność polega nie na epatowaniu widza tanią brutalnością (to też przeciwieżyliśmy dwie dekady temu, niewiele z tego zostało...), ale na przypomnieniu wagi scenicznego dialogu – obnażającego postaci okrutniej niż najbardziej drastyczne pomysły przeszłych, teraźniejszych i przyszłych skandalistów.

Ani to zatem nowoczesny *Don Juan*, ani komedia, ani bulwar. Przedstawienie niezwykle szlachetne, choć i brutalne, i pozostawiające głęboki dyskomfort. Przedstawienie-przetwora.

Potwory krązą wśród nas. „Imię ich legion”.

12-12-2018

Teatr Narodowy w Warszawie

Neil LaBute

Kilka dziewczyn

reżyseria: Bożena Suchocka

scenografia: Agnieszka Zawadowska

muzyka: Agnieszka Szczępaniak

obsada: Anna Grycewicz, Justyna Kowalska, Patrycja Soliman, Beata Ścibakówna, Grzegorz Małecki

premiery: 24.11.2018

BOŻENA SUCHOCKA

NEIL LABUTE

WARSZAWA

TEATR NARODOWY

Kilka dziewczyn, reż. Bożena Suchocka, Teatr Narodowy w Warszawie



Fot. Tomasz Urbanek / East News



Oglądasz zdjęcie 1 z 8

Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Twoj adres email



Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR

Przeczytaj

Świat

Nadesłane

Książki

Varia

Felietony

Historia teatru

Ludzie

Rozmowy

Opinie

Recenzje

Inne

Biblioteka

Redakcja

Patronaty

Współpraca

Szkola

Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

Facebook